



BIULETYN

KOŁA MIŁOŚNIKÓW DZIEJÓW GRUDZIĄDZA
KLUB „CENTRUM” SPÓŁDZIELNI MIESZKANIOWEJ



Rok XIX: 2021

Grudziądz, dnia 17.03.2021 r.

Nr 7 (685)

1229. spotkanie

Mirosław Pietkiewicz

WYDARZYŁO SIĘ W GRUDZIĄDZU WIELKA DEFRAUDACJA W PPG

Jest zwyczajny, przeciętny wtorek 7 grudnia 1926 roku. Mroźne słoneczne przedpołudnie. Miasto budzi się do codziennej krzątany. Lokalna prasa donosi o wydarzeniach z ostatnich dni:

- hitem dnia jest zuchwała kradzież znacznej kwoty gotówki z mieszkania zamożnego obywatela Pana Petri z ulicy Kwiatowej 22. Sprawczynią okazała się niewdzięczna służąca, niejaka Wilczewska mieszkająca przy ul. Rybackiej 31;
- kronika kulturalna informuje o spektaklu dla wojska zatytułowanym „Ulani księcia Józefa” wystawionym w teatrze miejskim. Nazajutrz natomiast planowa jest sztuka na podstawie dramatu Wyspiańskiego „Wesele”. Ceny biletów promocyjne, już od 40 groszy;
- grudziądzkie kina oczywiście nie chcą być gorsze. Apollo zachęca do obejrzenia filmu „Złoty Motylek” produkcji austriackiej;
- za wygraną nie chce dać kino „Orzeł” promując obraz sensacyjno awanturyczny „Król Paryża”.

Główne lokalne media podgrzewają zacięty spór pomiędzy zwolennikami a przeciwnikami dodatkowego opodatkowania starych kawalerów. Przez wiele dni na lamach grudziądzkich dzienników wypowiadają się adwersarze nie szczędząc sobie pikantnych słownych kuksańców. Dyskusję gospodarczą miasta rozpalają do czerwoności handlowcy zrzeszeni w Towarzystwie Samodzielnych Kupców, którzy wzywają do walki z kupiectwem żydowskim, zagrażającym jakoby ich interesom. Członkowie Towarzystwa pod przewodnictwem posła Krzywińskiego mają spotkanie właśnie we wtorek by omówić kierunki dalszych działań. Ale najważniejsze – to, co wszystkich raduje: że grudziądzki przemysł wreszcie nabral wigo ru. W tym szczególnie największa i najnowsza fabryka wyrobów gumowych – PPG.



Samuel Halperin

Jej normalny dzień pracy odmierza gigantyczny słoneczny zegar, którego wskazówką jest cień ogromnego komina

sięgający prawie do płynącego w pobliżu Rowu Hermana. Słońce smaga promieniami charakterystyczne – półkoliste dachy hal fabrycznych. Przed stróżówką przy głównym wejściu do fabryki, od strony ulicy Tuszeńska Grobla, wąsaty, stary portier Józef wielką miotłą odgarnia śnieg. Nie jest to jednak śnieżnobiała kołderka, lecz brudna breja zaprawiona sadzą z pobliskich kominów, która z powodu niskich temperatur na razie nie zamierza zamienić się w wodę.

Niedaleko stąd – w przestronnym gabinecie Samuel Halperin – prezes zarządu i główny dyrektor siedzi – skupiony przy biurku przeglądając foldery produkowanego w zakładzie obuwia sportowego. Przygotowuje strategię marketingową na rok 1927. Liczy przede wszystkim na rynki zagraniczne. Po chwili lekko znużony opiera głowę na wygodnym oparciu fotela i – opuszczając powieki – na chwilę pogrąża się w przyjemnym letargu. Przed oczyma przesuwają się obrazy z pierwszych lat jego pobytu w Grudziądzu. On syn skromnego żydowskiego kupca z kresowych Baranowicz i do niedawna poddany imperatora Wszech Rosji – kraju carów, gdzie normą był antysemityzm, a rządzący nader często go wykorzystywali, by skierować niezadowolone społeczeństwo w inną stronę – jak najdalej od siebie. W państwie, które w tym celu cyklicznie prowokowało antyżydowskie pogromy, awans osób wyznania mojżeszowego był wyjątkowo utrudniony.

Jednak wszystko to czego brakowało w jego rodzinnych, kresowych i zapyziałych Baranowiczach znalazł w Grudziądzu. Tutaj niewielu przeszkadzało jego żydowskie pochodzenie. On sam natomiast był zachwycony sprawnością i uczynnością lokalnej administracji wyszkolonej jeszcze przez pruskiego zaborcę. Imponował mu znakomity poziom edukacji i wysoka kultura techniczna zarówno wyższej kadry technicznej jak i robotników, którzy w przemysłowym mieście odgrywali niemalą rolę. Miał też intuicję i szczęście do wybranych przez siebie współpracowników. Trafił także na dobry czas i także miejsce, dające warunki do stworzenia wielkiego przedsiębiorstwa – w czym wydatnie pomogły mu władze miejskie z prezydentem Włodkiem na czele. Nowo wybudowana fabryka już po trzech latach działalności stała się największą w mieście. Dumą napawała go świadomość, że prawie dwutysięczna załoga ma jedne z najwyższych zarobków w Grudziądzu.

Z przyjemnego pół letargu wyrwało prezesa rytmiczne, dyskretne pukanie do drzwi. To umówionym kodem anonsowała swoje przybycie sekretarka – pani Irenka.

- Panie prezesie, dzwonił z Banku Spółek Zarobkowych, przypominają, że dzisiaj mija termin wykupu weksli. Z księgowości telefonowali, że wszystko przygotowane, tylko gotówkę – to naturalnie sam pan prezes musi wydać.

- Oczywiście, pani Irenko już schodzę, proszę tylko powiadomić członków Zarządu by na godzinę 12⁰⁰ byli u mnie w gabinecie w sprawie promocji obuwia sportowego – powiedział Halperin.

- Oczywiście panie prezesie, natychmiast wszystkich powiadomię telefonicznie.

Po chwili był już w gabinecie głównego księgowego pana Władysława. Na miejscu czekał także inkasent Jan Tylewski. Pan Jan był oddanym pracownikiem, cieszył się całkowitym zaufaniem prezesa, toteż powierzano mu najbardziej odpowiedzialne zadania, jak dostarczanie gotówki i bardzo ważnych dokumentów. Często wyjeżdżał też w interesach do odległych miejscowości. Mieszkał – można by rzec obok fabryki –



*Zakłady PePeGe w Grudziądzu.
Ze zbiorów Z. Zawadzkiego.*

bardzo blisko bo przy Tuszewskiej Grobli 24. I być może z tego powodu był bardzo dyspozycyjny i uczynny.

Na widok prezesa Halperina pan Jan lekko się uklonił i w unізony sposób powitał:

- Dzień dobry panu prezesowi.

Właściciel – podając mu rękę na powitanie, z uśmiechem na twarzy odparł:

– witam cię Janie.

Po czym wszedł do pomieszczenia

na zapleczu gabinetu głównego księgo-wego gdzie znajdowała się pancerna kasa. Po jej otwarciu odliczył 55 tysięcy złotych oraz 200 dolarów i umieścił w dużej torbie. Było to kwota ogromna – średnie zarobki w fabryce wynosiły około 120 złotych. Prezes wychodząc zwrócił się z uśmiechem do inkasenta:

- Okrągłą gotóweczkę dzisiaj do banku Janie zanosisz. Obyś tylko skoku w bok nam nie zrobił.

Zaskoczony tą wypowiedzią Tynecki, lekko się czerwieniąc prawie wykrzyknął:

- jak Boga kocham, panie prezesie!, żebym tak miał skonać, ja za te pieniądze to obie ręce dałbym sobie odrębać!

- No, dobrze już, dobrze – załagodził po ojcowsku szef firmy – znamy się i mamy do siebie pełne zaufanie. Nie pierwsza to dla ciebie, ani nie ostatnia dla ciebie taka wyprawa.

Komisyjnie jeszcze raz przeliczyli pieniądze. Gdy wszystko się zgadzało prezes zwrócił się do Jana:

- A teraz biegnij bo w banku już czekają.

Tylewski wychodząc szybkim krokiem zbliżał się do małego budynku portierni. Stróż Józef widząc go wyszedł przed stróżówkę i zagadnął:

– co to Panie Janeczku – dokąd to z taką dużą torbą – pewnie pieniądze niesiemy . A żeby Józef wiedział, że sumka całkiem niemała. Ale niestety nie moja – ale muszę już iść bo w banku czekają.

Skręcając w prawo, szedł szybkim krokiem Tuszewską Groblą. Głowę zaprzętało mu mnóstwo sprzecznych i natarczywych myśli. Szybko jednak je oddalił przyporządkowując je do wcześniej na chłodno przyjętego planu. Planu, który według niego był perfekcyjny. Bazował bowiem na wielkim zaufaniu – wypracowanym przez lata – którym darzyli go przełożeni. Dzięki kupieckiemu wyrobieniu i niewątpliwej inteligencji, wkradł się w łaski pryncypałów, na tyle, że powierzali jego opiece bardzo duże kwoty pieniężne. On sam natomiast przenosząc coraz większą gotówkę czuł się jeszcze bardziej sfrustrowany – nie mógł znieść perspektywy dalszego wegetowania na niedużej pensji w wysokości 100 złotych. Za tę kwotę z największym trudem utrzymywał żonę i dzieci. Miał dosyć ciągłego unізonego służenia innym ludziom, którymi tak naprawdę pogardzał, i czuł wobec nich wewnętrzną swą wyższość.

Liczył, że przy odrobinie szczęścia uda się przekroczyć granicę i przedostać do Królewca, gdzie w jednym z hoteli miał się spotkać z człowiekiem organizującym dokumenty na dalszą drogę. Stamtąd statkiem miał dopłynąć do Hamburga. A następnie

do jego wymarzonej Ameryki. Ameryki, w której on mógłby wreszcie rozwinąć skrzydła, a następnie ściągnąć rodzinę. Na ten moment czekał długo, ale brakowało mu wielkich pieniędzy. Dzisiaj miał je przy sobie. Po przejściu kilkuset metrów wstąpił jeszcze do mieszkania zabrać – przygotowaną wcześniej – niewielką walizkę z najbardziej niezbędnymi rzeczami. Wychodząc z kamienicy i idąc w kierunku banku dopadł go niewielki cień wątpliwości – mógł się przecież jeszcze wycofać – nikt jego planów nie znał. Jednakże im bardziej zbliżał się do punktu zwrotnego jakim był postój taksówek na Zbożowym Rynku, tym bardziej się utwierdzał w przekonaniu, że jeśli nie dzisiaj, to nigdy. Nim się spostrzegł a już stał przed nim krótki sznur samochodów.

By nie wzbudzać podejrzeń bez wahania wsiadł do pierwszego z przodu. Wąsaty szofer uniżenie zapytał:

– a gdzie to szanowny pan uważa?

Od razu dało się wyczuć, że do niedawna powoził jeszcze dorożką.

Jan najspokojniej odparł: – do Kalmuz pod Gardeją.

- Oho – ho! to już daleki kurs – skonstatował szofer. W takim razie szanowny pan pozwoli, że powiem koledze z drugiego wozu gdzie jadę, i że wrócę później. Jakby żona się pytała to powie jej, że mogę spóźnić się na obiad.

Nieco zaniepokoił tym Jana, który liczył, że szybko i niepostrzeżenie oddali się z Grudziądza, i uzyska dużą przewagę nad ścigającymi go. Teraz już takiej pewności nie miał. Ale liczył na łut szczęścia, które dotychczas go nie opuszczało.

Droga w kierunku granicy była lekko zaśniewana i miejscami oblodzona toteż szofer jechał nieśpiesznie – wzbudzał tym irytację Tylewskiego. Wreszcie do ponad dwóch kwadransach dojechali do Kalmuz. Ten etap uciekinier miał dobrze przygotowany – w lokalnej prasie zawczasu przeczytał ogłoszenie, że jeden z większych gospodarzy sprzedaje ziemię leżącą po obu stronach granicy. Postanowił ten fakt zrećcznie wykorzystać, by nielegalnie przekroczyć granicę.

Gdy zatrzymali się przed domem właściciela gospodarstwa Jan podziękował szoferowi i rozliczył się z nim. Nie zdążył jeszcze dobrze odejść od wozu a stanął przed nim gospodarz. Który nisko się kłaniając – tubalnym głosem go powitał:

- Dzień dobry, szanownemu panu. Pan chyba w sprawie zakupu ziemi.

- Tak jestem bardzo poważnie zainteresowany – potwierdził Tylewski.

- To może pan wstąpi na obiad – żona właśnie podaje – próbował zachęcić właściciel gruntów. Wylewna uprzejmość gospodarza nie wiązała się tylko z jego dobrym wychowaniem. Miał świadomość mankamentów sprzedawanej ziemi. Leżąca po obu stronach granicy – zwłaszcza w czasie trwającej wojny celnej z Niemcami – nie była zbyt atrakcyjna, jednak właściciel mający problemy finansowe był zdecydowany ją sprzedać jak najszybciej.

Jan grzecznie ale stanowczo:

- wybaczy pan, proszę się nie trudzić, wołałbym od razu zobaczyć teren i porozmawiać później o cenie, tak by jeszcze przed zmrokiem wrócić do Grudziądza.

- Ależ oczywiście – zapewnił właściciel – Pan pozwoli, że oprowadzi pana mój parobek Bronek, ja już stary jestem i chodzenie w śniegu po polach to już nie dla mnie. Niemieckich celników może się szanowny pan nie obawiać, wiedzą że sprzedają ziemię to zatrzymać nie będą.

Na to najbardziej właśnie liczył Jan. Zdawał sobie bowiem sprawę, że nie posiadając paszportu i mając olbrzymią gotówkę w jednej torbie, a w drugiej rzeczy osobiste, zdradzające udanie się w dalszą podróż – mógłby w trakcie rewizji zostać zatrzymany przez Niemców. Poszedł więc z Bronkiem w kierunku niewielkiego zagajnika, za którym znajdowała się granica. Broniek okazał się pojętym parobkiem doskonale znającym teren i opowiadającym z pasją o zaletach gruntów przeznaczonych do sprzedaży. W pewnym momencie jak spod ziemi wyrosli dwaj niemieccy celnicy. Podeszli bliżej – ale Jan nie stracił zimnej krwi – uśmiechając się szeroko – lekko unosząc kapelusz – przywitał się tradycyjnym „Guten Tag”. Niemcy uprzejmie odpowiedzieli tym samym – idąc dalej. Czując wielką ulgę przeszedł z Bronkiem jeszcze kilkaset metrów w kierunku Gardei. Tutaj czując się już bezpiecznym zwrócił się do oprowadzającego:

- słuchaj Broniek, teraz wrócisz sam, ale tak by cię celnicy nie zauważyli – już ty wiesz jak to zrobić. Powiesz gospodarzowi, że jak tylko załatwię swoje sprawy w Gardei to jeszcze dzisiaj wrócę i wpłacę zaliczkę za ziemię. Masz tu 10 złotych za fatygę. Broniek nieco zaskoczony – wydukał nieśmiało,

- Proszę szanownego pana, ale to chyba za dużo? – Speszony wydukał Broniek

- Dobrze, dobrze, jest tyle co trzeba, tylko pamiętaj, żeby cię Niemcy nie spotkali – bo mogą o mnie zapytać – odparł Jan.

- Szanowny pan może być spokojny znam ich i wiem gdzie teraz są – na pewno ich nie spotkam – po tym oddalił się w kierunku gospodarskich zabudowań. Tylecki w tym czasie szybkim krokiem skierował się w stronę miasteczka. Gdy tam dotarł, na rynku znalazł furmankę, której woźnica właśnie jechał do Kwidzyna i zgodził się za niewielkie pieniądze zabrać go ze sobą.

W gabinecie dyrektora Banku Spółek Zarobkowych, Józefa Andrzejewskiego zadzwonił telefon.

- słucham Andrzejewski – panie dyrektorze, dzisiaj miał dotrzeć w południe z gotówką na wykup weksli, inkasent z fabryki PePeGe . Jest już 13⁰⁰, a ciągle go nie ma, nie wiemy co robić – podniesionym głosem informował przełożonego kierownik sali operacyjnej na parterze.

- Niech pan zadzwoni natychmiast do prezesa Halperina może coś w fabryce zatrzymało inkasenta. Ale przecież Tylecki to „solidna firma” na niego zawsze można liczyć.

W gabinecie prezesa Halperina odbywa się narada zarządu fabryki poświęcona produkcji obuwia sportowego. Dyskretnie i jak zawsze niepostrzeżenie wchodzi sekretarka pani Irenka nachyla się do szefa, i ściszym głosem:

- Panie prezesie dzwoni kierownik z banku.

- Co on do licha może chcieć przecież wysłałem tam Tyleckiego z pieniędzmi i dokumentami.

- Prosi żeby pan prezes podszedł do aparatu – indagowała szeptem pani Irenka. Dyrektor nerwowo wstaje, przechodzi do sekretariatu i podnosi słuchawkę. Nagle ciszę przerywa ryk.

- Co takiego, to niemożliwe – nie dotarł do banku – przecież wyszedł o 11⁰⁰. Ale może coś się stało, może jakiś wypadek. Zaraz tam u was będę. Wchodząc z powrotem do gabinetu rzucił do zebranych:

- Panowie wybaczą, ale muszę pojechać do banku wyjaśnić pewne sprawy związane z wykupem weksli, naradę dokończymy później. Zdenerwowany całą sytuacją zwrócił się do zaufanego urzędnika fabrycznego Henkelmana:

- Chciałbym żebyś ze mną pojechał.

- Oczywiście panie prezesie jestem do dyspozycji – odparł podwładny. Pojechali prywatnym autem właściciela fabryki – pędem podjechali pod stróżówkę. Znający doskonale auto szefa firmy portier Józef wybiegł na powitanie. Nie zdążył się nawet uklonić, gdy prezes prawie krzyżując zapytał:

- Józefie czy Tylecki wychodził z fabryki około 11-tej?!

- Ależ panie prezesie sam jeszcze z nim rozmawiałem, było już około 11! mówił, że zanoszą ładną gotówkę do banku, ale się śpieszył i długo nie gadaliśmy. Tyle go widziałem, wyznał stróż.

- No tak – skwitował Halperin – wsiadając do auta, ruszyli energicznie w stronę centrum miasta. Jechali obserwując po drodze czy nie wydarzyło się coś niepokojącego. Ale miasto w zwykłe wtorkowe południe wydawało się niczym specjalnym nie wyróżniać. Ludzie załatwiali swoje codzienne sprawy i nie działo się nic co mogło wzbudzić ich jakiegokolwiek podejrzenie. Po dotarciu do siedziby banku prezes szybko pobiegł na piętro do gabinetu dyrektora. Znali się od dawna, łączyła ich przyjaźń, jeszcze od czasów pracy w berlińskich bankach. Wchodząc do gabinetu Samuel uściśnął dłoń przyjaciela:

- Cześć Józku, nie wiem co się mogło wydarzyć. Za nim to się wyjaśni proszę cię o przesunięcie terminu wykupu weksli, gdybym dzisiaj nie mógł wpłacić gotówki.

- Samuel, nie martw się na zapas pewnie Tylewski zaraz się odnajdzie i wszystko skończy się dobrze. Znasz go przecież to absolutnie sprawdzony, sumienny urzędnik.

- No tak pewnie masz rację, jednak uważam, że należy zawiadomić policję – słuchaj Józek, ja pojedę z Henkelmanem rozejrzeć się po mieście a ty zadzwoń na komendę, tu każda minuta może być ważna. Zbiegł szybko po schodach, wsiadł do auta i głośno zadał pytanie:

- Gdzie u licha może być w tej chwili Tylewski.

Henkelmann odparł

- Możemy panie prezesie sprawdzić czy nie ma go w jego mieszkaniu.

- No właśnie, jedziemy z powrotem na Tuszewską Groblę, zaordynował przełożony – i z impetem odjechali. Po dotarciu do kamienicy, w której mieszkał z rodziną inkasent, biegiem dotarli do lokalu. Energicznie pukali w drzwi mieszkania. Ale odpowiadała im głucha cisza. W tym momencie lekko uchyliły się drzwi naprzeciw mieszkania inkasenta. Niewysoki lysiejący urzędnik magistracki Stanisław Nowicki z pewnym zaniepokojeniem zapytał:

- Przepraszam panów czy coś się stało.

- Pilnie poszukujemy pana Jana, czy nie widział go pan dzisiaj – spytał Henkelmann.

- O tej porze żona pana Jana najczęściej wychodzi do miasta a dzieci są w szkole – ale wiecie panowie, że to dość dziwne, bo normalnie rano udał się do pracy, ale później, tak zaraz po 11 był krótko w mieszkaniu i z niego wyszedł z niewielką walizką – tak

jakby wybierał się w podróż, sam to widziałem bo mineliśmy się na półpiętrze jak wnosilem węgiel do mieszkania.

- Tak, tak – to wszystko jasne, ależ nas oszukał – wykrzyknął Halperin. Ależ panowie o co chodzi – przecież pan Janek to taki porządny i uczciwy urzędnik.

- To się jeszcze okaże – dodał prezes, wymownie kiwając przy tym głową. Schodząc po schodach Henkelmann zwrócił się do przelożonego:

- szefie myślę, że powinniśmy sprawdzić dworzec kolejowy, może ktoś go zapamiętał, może wskaże nam kierunek w którym się udał.

Na dworcu kolejowym panował zwykły południowy gwar. Biegali jak oszalali po peronach i nagle zrozumieli, że szukają człowieka widmo. Uświadomili sobie bowiem, że Tylewski to człowiek kompletnie niczym się nie wyróżniający. Zawsze ubierał się jak typowy urzędnik. Był średniego wzrostu miał typową też twarz bez żadnych znaków szczególnych. Jediną cechą która go wyróżniała to brak jednego palca u dłoni, ale tę ułomność dość łatwo można ukryć, zwłaszcza zimą. Posiadał przy sobie wprawdzie torbę i walizkę, ale na dworcach to nader oczywisty widok. Przypadkowo natknęli się na peronowego, ale zdali sobie sprawę, że pytanie o tak niczym nie wyróżniającego się podróżnego narazi ich tylko na śmieszność. Ostatecznie zrezygnowani postanowili udać się na komisariat policji mieszczący się na Placu 23 stycznia. W korytarzu natknęli się na komendanta, podkomisarza Frackowiaka, który po krótkim powitaniu powiedział:

- Wiem panowie o co chodzi dzwoniło z banku w tej sprawie, ale na razie nie mam powodów do poważnej interwencji, może inkasent się szybko odnajdzie.

- Ależ panie komendancie wtrącił prezes – mamy poważne poszlaki wskazujące, że Tylewski najzwyczajniej uciekł, byliśmy u niego w domu, zabrał ze sobą niedawno walizkę. Po co mu walizka podróżna w czasie pracy.

- Jeśli tak – to najbliższym czasie wydam dyspozycje odnośnie poszukiwań, prześlemy też zapytania do okolicznych komend i poinformujemy przejścia graniczne – dodał Frackowiak. Czy może macie panowie jakieś wskazania co do miejsca, gdzie mógł się udać inkasent? Może jakaś rodzina, przyjaciele, koledzy – kontynuował swój wywód policjant.

- Z tego co mi wiadomo Jan w Grudziądzu miał tylko najbliższą rodzinę – odparł prezes, - o przyjaciółach i kolegach mi nic nie wiadomo – tak naprawdę to żył fabryką, ale przyznam – zawsze był dosyć tajemniczy – dodał.

- No tak – westchnął komendant – my w każdym razie nadamy poszukiwaniom najwyższą rangę. Panom doradzam uruchomić własne kontakty i spróbować ustalić miejsce pobytu inkasenta, gdybyście panowie go odnaleźli to jak najszybciej przekażcie nam tę informację.

Pożegnawszy się z komendantem, zasmuceni wrócili do auta.

- Dokąd teraz – zapytał Halperin.

- Szefie ! – wykrzyknął Henkelmann – może pojedziemy do postój taksówek na Zbożowym Rynku, szoferzy zawsze wiedzą najwięcej co się dzieje na mieście, może któryś coś zauważył.

- Tak myślisz – odparł prezes i spojrzal z niedowierzaniem na podwładnego. Po chwili stali już przed krótkim ogonkiem aut czekających na klientów. Do pierwszego z nich podeszli razem i Henkelmann zapytał szofera:

- Dzień dobry, razem z panem prezesem Halperinem poszukujemy inkasenta, który dzisiaj zaginął czy może jakiś klient nie zamawiał dalszego kursu. Nieco zaskoczony szofer odpowiedział:

- Ja szanowny panie dzisiaj to tylko na mieście klientów rozwoziłem, ale spytam kolegów może oni mieli jakiś dłuższy kurs. Po chwili zrobiło się małe zbiegowisko szoferskiej braci, ale wszyscy zgodnie zapewniali, że klientów dzisiaj było mało i żaden z nich daleko poza miasto kursu nie zamawiał. W pewnym momencie jeden z szoferów przypomniał sobie, że jego kolega po fachu – Franek – prosił go, żeby powiadomił jego żonę, gdyby się spóźnił na obiad, bo miał klienta na kurs do Gardei.

- Do Gardei! - krzyknął prezes Halperin – A gdzie jest teraz ten kolega?! – spytał.

- Panie prezesie, myślę, że właśnie jest na obiedzie – odparł szofer.

- A gdzie mieszka, zapytał – prawie krzycząc – Henkelmann.

- Tutaj niedaleko w kamienicy na drugim piętrze – wskazał szofer – już panów prowadzę.

Drzwi mieszkania otworzyła kobieta w średnim wieku; natychmiast dało się wyczuć smakowity zapach grochówki. Kolega witając się z panią domu poprosił Franka na słowo. Po chwili do przedpokoju wszedł niewysoki wąsaty szofer.

- Witam w skromnych progach szanowną delegację, cóż to sprowadza. Może panowie usiądą, grochówki starczy dla wszystkich.

Kolega Franka grzecznie zaczął:

- Słuchaj Franek wiem, że twoja żona gotuje najlepszą grochówkę w mieście, ale zjemy ją innym razem. Jest tu ze mną pan prezes Halperin z PPG i jeden z urzędników fabrycznych – mają do ciebie kilka pytań.

- No, właśnie – wkroczył do akcji Henkelmann – zawoził pan dzisiaj go Gardei klienta, może pan powiedzieć jak wyglądał.

-Tak kilka godzin temu miałem taki kurs – odrzekł szofer. Klient taki zwyczajny, niewiele mówił, chyba tylko coś o pogodzie, wyglądał typowo, na głowie kapelusz, twarz niczym się nie wyróżniająca. Aha miał ze sobą niewielką walizkę i dużą torbę, którą cały czas trzymał przy sobie. W Kalmuzach przy samej granicy podwoziłem go prawie pod próg domu tamtejszego gospodarza. Zapłacił za kurs i to wszystko.

- Proszę dokładnie powiedzieć jak dojechać do tego gospodarstwa – zapytał prezes.

- To proste, za przejazdem kolejowym w prawo, pierwsze zabudowanie po lewej stronie – odpowiedział Franek.

- Dziękujemy panu za informacje, są niezmiernie cenne, zdaje się, że to nasz inkasent. Mam nadzieję, że daleko nie uciekł – dodał Halperin.

Pożegnawszy się zbiegli po schodach, podziękowali koledze Franka za pomoc i szybko odjechali w kierunku granicy z Niemcami.

Nużący tętent kopyt idącego stępa konia działał usypiająco, gdy woźnica niespiesznie poganiał zwierzaka ciągnącego furmankę. Słońce powoli chowało się już za horyzont. Droga do Kwidzyna wlokła się niemilosiernie. Przenikający chłód dawał się już mocno we znaki Janowi. Dobrze, że zabrał ze sobą gruby szal, który teraz ratował jego nieszczęsne, przemarznięte uszy. Mrukliwy właściciel furmanki prawie się nie odzywał, i o nic nie wypytywał, co Janowi zupełnie odpowiadało. Gdy dojeżdżali już do miasta mijając po prawej stronie budynki wodociągów miejskich poprosił woźnicę by

podwiózł go do postoju taksówek. Na postoju w centrum miasta stało kilka aut. Jan podziękował woźnicy wręczając mu kilka marek niemieckich. Natychmiast wsiadł do pierwszej taksówki. Szofer spytał po niemiecku: - Dokąd jedziemy?

- Jan odpowiedział, - do hotelu „Pod Trzema Koronami” w Malborku. Tylko jak najszybciej, panie kierowco, bo już jestem spóźniony. Z impetem ruszyli na północ.

Prezes Halperin wraz z urzędnikiem Henkelmanem mijali zaśnieżone podmiejskie miejscowości. Pędzili z ogromną prędkością – nierzadko przekraczając 100 kilometrów na godzinę. Co w tych warunkach było bardzo niebezpieczne. Ale dzięki temu w krótkim czasie stali już przed domem gospodarza, z którym jeszcze kilka godzin wcześniej spotkał się Tylewski. Pierwszy z aut wyskoczył Henkelmann, który prawie biegnąc zjawiał się przed drzwiami, które w tym momencie się otworzyły ukazując postać właściciela. Nieco zaskoczony nagłym najściem, gospodarz prawie krzycząc:

- Dzień dobry, czym mogę panom służyć!

- Nazywam się Henkelmann, a to jest mój szef, prezes zakładów PePeGe, Samuel Halperin. W tym momencie włączył się do rozmowy prezes, lekko unosząc swój kapelusz na powitanie.

- Proszę pana poszukujemy osobnika, który przywłaszczył sobie wielką kwotę pieniędzy, wiemy, że spotkał się pan z nim, niech pan tylko nie kręci, to bardzo poważna sprawa, za którą grozi wiele lat odsiadki.

- Ależ panowie! Jak Boga kocham, ja tego człowieka pierwszy raz widziałem, chciał kupić ode mnie grunty – krzycząc – odparł gospodarz. Sprawiał wrażenie zamożnego i zdecydowanego, dlatego do razu poszedł z moim parobkiem zobaczyć pola przy samej granicy. Ale potem już się nie pokazał, a parobek powiedział, że po załatwienie kilku spraw w Gardei powróci i dobijemy targu po czym wpłaci zaliczkę.

- No tak, wszystko jasne wykorzystał sytuację, żeby sprytnie przekroczyć granicę – wtrącił Henkelmann.

- Na razie panu dziękujemy, bardzo nam pan pomógł, o ile to co nam pan powiedział jest prawdą! – dodał z naciskiem prezes.

- Ależ panowie jak na świętej spowiedzi wszystko to prawda! – odkrzyknął gospodarz.

Po pożegnaniu się udali się w stronę przejścia granicznego. Jadąc powoli Halperin głośno wyraził przekonanie:

- Mam nadzieję, że komendant z Grudziądza dotrzymał słowa i powiadomił posterunki graniczne, w innym wypadku możemy mieć problemy na granicy. Nie mamy przecież paszportów.

Powoli do zbliżali się do przejścia granicznego. Stanęli blisko przed szlabanem. Młody podoficer w stopniu sierżanta podszedł do wozu salutując:

- Proszę o dokumenty – czy mają panowie coś do oclenia.

- Panie sierżancie nie mamy nic do oclenia, ścigamy inkasenta, który przywłaszczył wielką sumę pieniędzy. Nie mamy paszportów. Ale mieliśmy zapewnienie policji w Grudziądzu, że posterunki graniczne będą powiadomione o defraudacji. Prosimy o przepuszczenie nas na terytorium Niemiec byśmy mogli go odnaleźć.

- Wyjaśnił prezes Halperin.

- Czy macie panowie dowody osobiste – zapytał podoficer.

- Ależ oczywiście odparł Henkelmann – wyjmując po chwili swój dokument. Prezes uczynił to samo wyjmując dowód z portfela, przekazując sierżantowi oba dowody tożsamości. Pogranicznik salutując poinformował:

- Panowie muszą jeszcze poczekać, decyzję podejmie oficer dyżurny.

Po czym udał się do budynku strażnicy. Minuty ciągnęły się niemiłosiernie – prezes nerwowo rytmicznie uderzając dłońmi w kierownicę głośno westchnął:

- oby tylko nas przepuścili.

Po pewnym czasie zjawił się oficer dyżurny w randze kapitana, salutując poinformował:

- Zostaliśmy powiadomieni o defraudacji przez komendanta policji w Grudziądzu. W tej wyjątkowej sytuacji moi przełożeni wyrazili zgodę na przekroczenie granicy państwa w trybie doraźnym na czas do 48 godzin. Mam nadzieję, że uda się panom odnaleźć defraudanta. Musicie panowie przekonać jeszcze pograniczników niemieckich co do swojej misji. Myśmy już wcześniej ich uprzedzili o całej sprawie, dlatego sądzę, że powinni was przepuścić, ale z nimi różnie bywa. I salutując dodał z uśmiechem:

- Życzę powodzenia.

Uradowany prezes prawie krzycząc:

- Bardzo panu dziękujemy, postaramy się zmieścić w wyznaczonym czasie! Oficer dał sygnał do podniesienia szlabanu i po chwili byli już przed posterunkiem niemieckim. Do auta podszedł sprężystym krokiem niemiecki pogranicznik i salutując wyrecytował:

- Proszę o dokumenty.

Prezes Halperin w nienaganej niemczyźnie odparł:

- Niestety nie mamy paszportów a jedynie dowody tożsamości ścigamy defraudanta, który przywłaszczył sobie ogromną sumę pieniędzy. Mamy dowody na to, że przekroczył nielegalnie granicę w tym rejonie kilka godzin temu. Prosimy o daleko idącą pomoc, liczy się każda minuta.

Dramatyczna wypowiedź prezesa nie zrobiła wrażenia na funkcjonariuszu, gdyż podniesionym głosem nakazał:

- Proszę wyjść z wozu!

- Ależ proszę pana – zaproponował Henkelmann – nie mamy niczego do ukrycia, nie przewozimy rzeczy nielegalnych. Prosimy o rozmowę z dowódcą zmiany. Strona polska miała poinformować o defraudacji.

- Na razie panowie, przeszukamy was a także auto. Proszę o opuszczenie wozu – zaordynował głosem nie znoszącym sprzeciwu celnik.

- Ależ oczywiście, proszę tylko o powiadomienie przełożonego o sytuacji, która ma miejsce – znizonym głosem odpowiedział wychodząc z auta prezes Halperin. Chwilę później zjawili się dwaj podwładni, którzy zaczęli przeszukiwać pojazd. Ich dowódca stojąc w lekkim rozkroku zapalając papierosa rzucił drwiąco w stronę przyjezdnych:

- Nie chciałbym być w waszej skórze panowie jeśli cokolwiek nielegalnego znajdziemy tutaj.

Po zakończeniu sprawdzania pojazdu celnicy sprawdzili jeszcze przybyłych – dokładnie obszukując ich zimowe ubrania i kapelusze. Po sprawdzeniu zameldowali przełożonemu, że nie znaleźli żadnych nielegalnych rzeczy.

- No panowie na razie macie szczęście, ale musicie tutaj poczekać sprawdzę u oficera dyżurnego czy może pojawiły się jakieś nowe informacje, o których mówiliście. Proszę

odjechać od szlabanu, stanąć tam – wskazał ręką miejsce – i czekać na dalsze decyzje – poinformował już łagodniej – celnik. Zasalutował i sprężystym krokiem udał się do budynku strażnicy.

Zirytowany zajściem prezes wsiadł do auta i zaparkował w miejscu wskazany przez pogranicznika. Chwilę po tym dosiadł się Henkelmann, spojrzawszy pytająco na przełożonego i zapytał:

- Panie prezesie chyba nas tutaj nie zatrzymają?
- Bądź dobrej myśli, skoro nas przepuścili polscy celnicy to i tutaj może nam się udać. Prowadzę pewne interesy w Malborku znam wielu wpływowych Niemców i myślę, że cieszę się tu zaufaniem i teraz, przy odrobinie szczęścia może nam to pomóc – zawyrokował Halperin.

Po około 20 minutach zjawił się niemiecki pogranicznik i w zupełnie innym już tonie zakomunikował:

- Panowie, potwierdziły się wasze informacje w sprawie pościgu za defraudantem. Nasi przełożeni z rejencji kwidzyńskiej w drodze wyjątku nakazali nam wpuścić was na teren Niemiec. Zgodnie z ustaleniami ze stroną polską macie panowie 48 godzin na załatwienie swoich spraw. Nachylając się w stronę prezesa wręczył mu dokument.

- Oto przepustka uprawniająca panów do podróżowania po terenie Prus Wschodnich.

Uradowani tym faktem podróżni prawie jednocześnie ryknęli:

- Bardzo dziękujemy!

Niemiecki funkcjonariusz zasalutował, po czym gestem reki dał sygnał podwładnemu do podniesienia szlabanu granicznego.

Auto prezesa Halperina z wolna ruszyło na północ.

Kwidzyński taksówkarz był wesół i nader rozmowny. Nie wiadomo czy intratny kurs do odległego Malborka wprowadził go w dobry nastrój, czy były też inne tego powody. Janowi nawet to odpowiadało. Po niewygodnej i twardej desce furmanki zateśknął za wygodnym siedzeniem w samochodzie. Na furmance przemarzył na kość, a tu – w kabinie automobilowej – było znacznie cieplej, toteż z zadowoleniem wysłuchiwał lokalnych wiadomości przekazywanych przez szofera z prędkością telegrafu. Dowiedział się o wszystkich rzekomych szwindlach, w które lokalne władze miały być umoczone. Nie zostawił suchej nitki na władzach centralnych w Berlinie, które jego zdaniem zupełnie zapomniały o tym, że Prusy Wschodnie też należą do Niemiec. Święte oburzenie kierowcy dotyczyło wysokości podatków i w ogóle nieopłacalności utrzymania taksówki. Kiedy tak szofer się rozkręcał – Jan po dłuższej chwili miał już dość wysłuchiwania jego rzewnych opowieści i mu przerwał:

- Może pan powiedzieć kiedy dojedziemy do Malborka ?

Na to taksówkarz:

- Proszę pana, jeżeli nie wydarzy się nic niepożądanego, to w pół godziny będziemy przed hotelem „Pod Trzema Koronami”. Unizenie brzmiała odpowiedź.

- A czy z hotelu jest daleko do dworca kolejowego?

- Zapytał przewrotnie Jan liczący, że ta informacja zmyli ścigających.

- Około 10 minut piechotą – odrzekł szofer.

- To się dobrze składa – odpowiedział pasażer.

Taksówkarz to słysząc i licząc na dalszy intratny kurs zęcnie zapytał:

- Gdyby szanowny pan potrzebował taksówki do dalszej podróży, to ja jestem do dyspozycji.

Na to inkasent nie mógł przystać, uważał bowiem, że często zmieniając pojazdy, bardzo utrudni ścigającym jego schwytanie. Szybko zatem odpowiedział kierowcy posiłkując się małym kłamstwem:

- No tak, ale myślę, że mały wieczorny spacer dobrze mi zrobi.

- Ależ oczywiście, ma pan całkowitą rację – wycedził zawiedziony taksówkarz.

Dojeżdżali do hotelu. Z daleka był widoczny wielki kolorowy neon z napisem „Hotel pod Trzema Koronami”.

Wczesny grudniowy wieczór na rynku w Gardei sprawiał przygnębiające wrażenie. Mieszkańcy miasteczka pozaszywali się w swoich domach, na skutek czego nie było na rynku żywej duszy. Lodowaty wiatr hulał pomiędzy zabudowaniami porywając drobiny świeżego śniegu. Samochód prezesa Halperina powoli toczył się w kierunku Kwidzyna. W pewnym momencie zatrzymał się na skraju rynku. Zapanowała cisza, którą zaburzał miarowy, rytmiczny warkot silnika. Henkelmann zwrócił się do prezesa:

- Szefie, co teraz? Przecież tu nie ma nikogo kogo można by zapytać o naszego defraudanta.

- Masz rację, skoro tu nie ma żadnych taksówek to, albo tutaj się zaszył, albo musiał udać się do Kwidzyna. W Gardei szybko by go znaleźli więc na pewno pojechał na północ. Myślę, że skoro polubił taksówki to warto będzie na kwidzyńskim postoju popytać o niego – odpowiedział prezes.

Ruszyli przed siebie. W ciągu kwadransa byli już przy postoju taksówek w centrum miasta. Prędko wysiedli z auta i podeszli do pierwszej taksówki. Przysypiający taksówkarz ocknął się, gdy dyskretnie zapukali w boczną szybę. Prezes Halperin po powitaniu zapytał:

- Poszukujemy osobnika, który zdefraudował wielkie pieniądze w Grudziądzu i prawdopodobnie przybył do Kwidzyna w ciągu ostatnich kilku godzin. Czy może widział pan kogoś z dużą torbą i niewielką walizką korzystającego z taksówki?

Zdziwiony szofer przetarł oczy, lekko ziewnął, po czym po namyśle odpowiedział:

- A wie pan, że jakieś dobre pół godziny temu jakiś klient wchodził do pierwszego auta. Nie jestem pewien, ale chyba kierował się w stronę Malborka. Jeśli tam się udał, to taksówka za około pół godziny powinna być z powrotem tutaj na postoju. Wtedy panowie możecie się zapytać szofera kogo przewoził i dokąd?

- No tak, ale stracimy kolejne pół godziny – zauważył przytomnie Henkelmann.

- Może masz rację, ale utwierdzimy się czy to nasz uciekinier i dokąd się udał, dlatego warto trochę poczekać – stwierdził dobitnie prezes Halperin. Po czym zwrócił się do kierowcy:

- Chciałbym by wskazał pan tę taksówkę jak się tutaj pojawi.

- Ależ oczywiście, że wskażę panu, szoferem jest mój dobry kolega, oby tylko jak najszybciej się zjawił – odrzekł taksówkarz uśmiechając się szeroko.

- Dobrze, my tymczasem zaczekamy w naszym aucie – odpowiedział prezes. Po czym zziębnięci umościli się wygodnie w kabinie.

Hotel „Pod Trzema Koronami” w Malborku we wtorkowe zimowe wieczory zazwyczaj świecił pustkami. Toteż Jan w swoich planach brał pod uwagę krótki odpoczynek właśnie tutaj – tym bardziej, że uzmysłowił sobie, iż nie jadł właściwie od rana. Odżył tutaj w nim sentyment za odrobiną luksusu wyniesiony jeszcze z dobrych berlińskich czasów. Przez ostatnie lata ta niewinna słabość była skutecznie tłumiona przez brak pieniędzy. No, ale teraz mógł sobie na więcej pozwolić. Jednak pobyt – nawet krótki – w renomowanym hotelu był z jego strony dużą nieostrożnością. Takie miejsca są pod szczególnym nadzorem policji. Ten brak czujności będzie miał dla Jana poważne konsekwencje. Tymczasem po zdaniu palta w szatni, gość rozsiadł się wygodnie przy stole na środku sali i szybkim gestem przywołał kelnera.

- Tak proszę szanownego pana, czym mogę służyć – wyrecytował pracownik hotelu.

Co może pan polecić z najlepszych dań? - spytał Jan.

- Polecam znakomitą golonkę po bawarsku z kapustą i ziemniakami oraz oczywiście z piwem. Będzie pan zachwycony – polce lizać – tym bardziej, że jest w kuchni prawie gotowa i będzie podana w ciągu 5 minut.

- No to znakomicie, bo bardzo się spieszę, tylko czy przyjmujecie zapłatę w złotych polskich lub dolarach amerykańskich – zapytał Jan.

- Ależ oczywiście mamy wielu gości z zagranicy i przeliczamy na marki po korzystnym dla klientów kursie – poinformował z entuzjazmem kelner.

Dotrzymał słowa bo po kilku minutach na stole postawił przed gościem talerz cudownie pachnącej wielkiej golonki i kufel najlepszego miejscowego piwa. Golonka zgodnie z zapewnieniem kelnera rozplywała się w ustach, i w krótkim czasie na talerzu pozostała tylko ogromna kość. Zniknęła też zawartość wielkiego kufła. Po posiłku Jan poczuł lekkie odprężenie. Zeszło z niego napięcie ostatnich godzin. Był pewien, że policja grudziądzka – o której nie miał najlepszego zdania – dopiero zastanawia się, gdzie go szukać. Myślał pobożnie, że wszyscy są bierni i w najlepszym wypadku liczą, iż sprawa sama się wyjaśni. Nie mógł jednak przewidzieć determinacji i szybkości działania swojego pracodawcy, który właśnie podążał jego tropem. Po posiłku przywołał kelnera wręczając mu zapłatę w złotych polskich zawierającą wielki napiwek. Obsługujący uklonił się w pas, dodając:

- Bardzo miło było szanownego pana gościć, mam nadzieję, że golonka smakowała?

- Tak była to najlepsza golonka w moim życiu – odpowiedział klient, lekko kiwając głową uśmiechając się przy tym.

- Staramy się schlebiać gustom kulinarnym naszych klientów – dodał kelner.

- Czy może pan przywołać telefonicznie taksówkę pod hotel, poprosił Jan.

- To najzupełniej zbyteczne, taksówka zawsze dyżuruje pod hotelem, jest do pana dyspozycji – poinformował z nutą zadowolenia kelner.

I rzeczywiście – po wyjściu z budynku stało gotowe do jazdy auto. Tylewski wsiadł głośno się przywitał i spytał się szofera czy może go zawieść do Królewca. Kierowca lekko się zdziwił:

- No wie pan to daleki kurs musimy ustalić zapłatę – Proszę pana cena nie gra roli, proszę się jednak pospieszyć – zaordynował Jan. Auto powoli ruszyło w stronę stolicy Prus Wschodnich.

Przenikliwie zimno zawładnęło wnętrzem auta. Wtuleni w siedzenia prezes z Henkelmanem w ciszy, cierpliwie czekali na przyjazd taksówki. Ale o tej porze dnia niewiele się działo. Wprawdzie przyjechało jedno auto, ale okazało się, że szofer rozwoził po Kwidzynie miejscowych klientów. Powoli tracili nadzieję na odszukanie defraudanta. Pierwszy odezwał się Henkelmann:

- Szefie, przecież Tylewski mógł udać w kilku różnych kierunkach, a trop do Malborka wcale nie musi być tym właściwym.

- Może masz rację, ale mam dziwne przeczucie, że nasz zbieg pojechał na północ, być może będzie chciał się dostać do Królewca – doparł Halperin.

Nagle dostrzegli taksówkę powoli dojeżdżającą do postoju. Z sąsiedniego auta wyszedł szofer i podbiegł do nadjeżdżającego pojazdu. Po krótkiej rozmowie, prawie biegnąc kierowca dopadł do auta prezesa i wykrzyknął:

- Tak panowie mój kolega zawoził klienta do Malborka.

Pierwszy wyskoczył jak z procy Henkelmann i dobiegł do auta, które właśnie wróciło z kursu.

- Dobry wieczór nazywam się Henkelmann ścigamy razem z prezesem Halperinem oszusta, który przywłaszczył ogromne pieniądze, prawdopodobnie pan go przewoził.

- Owszem to mógł być ten człowiek – odpowiedział szofer, miał przy sobie dużą torbę i niewielką walizkę. Niczym się nie wyróżniał, niewiele też mówił, pytał tylko jak daleko jest z hotelu do dworca kolejowego.

Do dyskusji teraz włączył się Halperin, pytając:

- Dokąd pan zawiózł tego klienta:

- Do hotelu pod Trzema Koronami w Malborku, padła odpowiedź.

- No, to prawie go mamy! – Ma nad nami najwyżej trzy kwadranse przewagi – krzyknął prezes. Znam ten hotel. Dziękujemy, bardzo nam panowie pomogli – dodał na pożegnanie – lekko się pokłonił unosząc przy tym kapelusz.

W dość obskurnej dyżurce policji państwowej w Malborku oficer pełniący służbę tego wieczora nie mógł narzekać na nadmiar pracy. W zwykły wtorkowy wieczór w mieście niewiele się działo. Nagle zadzwonił telefon:

- Panie naczelniku z tej strony kierownik sali hotelu „Pod Trzema Koronami” kilka minut temu wychodził od nas klient mówiący z polskim akcentem, płacący tylko polskimi złotymi i dolarami amerykańskimi. Mówił, że bardzo się spieszy. Wydał nam się podejrzany. Szybko zjadł obiad i wziął taksówkę spod hotelu.

- Jak wyglądał, może jakieś znaki szczególne – zapytał oficer:

- Wyglądał najzupełniej przeciętnie. Średniego wzrostu, na głowie typowy kapelusz, twarz nijaka. Ale zaraz, kelner obsługujący go zauważył brak jednego palca u ręki – odpowiedział kierownik.

- To by się nawet zgadzało, poszukujemy defraudanta, który przywłaszczył sobie ogromną sumę pieniędzy z jednej z fabryk w Grudziądzu. Znamy jego personalia, ale dotychczas nie wiedzieliśmy, gdzie przebywa. A tu ptaszek na naszym terenie się pojawił. Czy wiadomo może dokąd się udał taksówką? – zapytał policjant.

- Panie naczelniku szatniarz obserwował odjazd auta i wydaje się, że mogło kierować się w stronę Królewca.

- Dobra robota, dziękuję za informację – zakończył policjant odkładając słuchawkę.

- No tak – mówiąc sam do siebie – ten obiadek będzie tego pana drogo kosztował. Natychmiast powiadomił posterunki na całym obszarze jemu podległym. Przekazał też informacje o defraudancie swoim przełożonym w Królewcu.

Auto prezesa zwinnie, z dużą prędkością pokonywało dość krętą drogę do Malborka. Kierujący mając świadomość, że cenna jest każda minuta katował maszynę niemilosierdzie. Mijając Sztum Prezes zwrócił się do podwładnego:

- Wiesz z czym większości ludzi kojarzy się to miasteczko?

- Nie wiem szefie – odpowiedział ze zdziwioną miną pasażer.

- Z wiezieniem mój drogi, z wiezieniem i, mam nadzieję, że niebawem nasz pan Janek w podobnym miejscu się szybko pojawi – wyjawiał z przekonaniem Halperin.

W ciągu kilkunastu minut stanęli przed budynkiem Hotelu pod Trzema Koronami. Przy wejściu prezes zwrócił się szatniarza:

- Dobry wieczór czy był tutaj w ciągu ostatniej godziny klient mówiący z polskim akcentem, niewysoki z duża torbą i niewielką walizką.

- Tak, niedawno odjechał taksówką, ale może więcej to panom odpowie kelner, który go obsługiwał – wyjawiał szatniarz.

- Proszę nam go wskazać – poprosił Henkelmann.

- O właśnie: znajduje się w tym momencie za barem, wskazał szatniarz. Przybysze podeszli do kelnera i przedstawili się. Prezes zapytał:

- Czy mógłby pan powiedzieć kogo obsługiwał w ostatniej godzinie z osób spoza hotelowych gości:

- To panowie nie będzie trudne, bo poza kilkoma stałymi naszymi klientami na sali tylko jedna osoba była z zewnątrz. Osobnik niewysoki o dość pospolitej twarzy, aha, nie miał palca u jednej ręki. Ale dlaczego panowie o niego pytają czy coś się stało? – zapytał kelner.

- Tak przywłaszczył sobie wielką kwotę należną jednemu z banków w Grudziądzu – odparł Henkelmann.

- Może to dziwne, ale nam też wydał się nieco podejrzany. Pytał czy może zapłacić za obiad polskimi złotymi lub amerykańskimi dolarami. Po jego wyjściu natychmiast powiadomiliśmy policję. Szatniarz widział moment odjazdu taksówki spod hotelu i uważa, że pojechali w stronę Królewca – wyjawiał z wypiekami na twarzy kelner.

- To oczywiste, że Królewiec to tylko przystanek w jego dalszej podróży, na pewno będzie chciał się stamtąd wymknąć drogą morską. W końcu Prusy Wschodnie to niewielki obszar i prędzej czy później zostanie tutaj schwytany – oznajmił Henkelmann.

- Tak czy owak ma nad nami niewielką przewagę, więc w drogę do Królewca – zaordynował Halperin.

Auto prezesa szybko oddaliło się w stronę miasta Immanuela Kanta.

Przez większą część drogi do stolicy Prus Wschodnich Jan przespał na tylnym siedzeniu taksówki. Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Po obfitym obiedzie i błogim przekonaniu, że jest już bezpieczny nawet nie poczuł kiedy wpadł w objęcia Morfeusza.

Nagle ocknął się gdy auto podskoczyło na drogowej wyrwie i prawie natychmiast zapytał kierowcę, gdzie się znajdują. Szofer z poczuciem ulgi powiedział:

- No szanowny pan może się przygotować bo właśnie jesteśmy niedaleko Królewca, ale dokąd to pana zawieźć. Bo tak szybko pan zasnął, że nie miałem śmiałości pytać.

- O tak, chciałem po wyjeździe z Malborka powiedzieć, ale sen mnie zmorzył. Proszę mnie zawieźć do hotelu Parkowego, wie pan gdzie się znajduje? - zapytał Jan.

- Oczywiście, wiem doskonale, to w końcu najnowszy i najbardziej luksusowy hotel w mieście. Będziemy tam za dziesięć minut – z nutą uprzejmości w głosie powiadomił szofer.

Wybranie tego hotelu było poważnym błędem w sytuacji, gdyż Jan nie miał przy sobie paszportu. Jeszcze będąc w Grudziądzu udało mu się załatwić nie najlepiej podrobiony dowód osobisty na nazwisko Jan Lewicki, ale z takim dokumentem to mógł się co najwyżej zameldować w podrzędnym hotelu. Wprawdzie w Królewcu – zgodnie z wcześniejszą umową – miał na niego czekać przewodnik Hans, który miał mu załatwić niezbędne papiery pozwalające na dalszą podróż. Tyle, że Hans zapewne myślał o niewielkim mało rzucającym się w oczy hotelu gdzieś na przedmieściu, a nie o wytwornym Parkowym. Ale znowu odezwała się w duszy Jana niesforna potrzeba zasmakowania luksusu w wielkim stylu. Ta z pozoru niewinna słabość będzie go drogo kosztowała.

Rzęście oświetlony Hotel Parkowy sprawiał imponujące wrażenie. Natychmiast po zatrzymaniu auta podbiegł portier w liberii, otworzył drzwi i nisko się kłaniając, zapytał o bagaż. Tynecki nieco zdezorientowany w pierwszym odruchu chciał nu przekazać torbę z pieniędzmi, ale szybko się zreflektował i przekazał niewielką walizkę podróżną. Natychmiast rozliczył się z taksówkarzem dojąc spory napiwek. Po przejściu do wielkiego holu, stojący za kontuarem recepcjonista, kłaniając się na powitanie zapytał:

- Witamy w Hotelu Parkowym, czym możemy służyć panu?

- Nie zdażyłem dokonać wcześniej rezerwacji, ale liczę, że zaproponuje mi pan ładny pokój na kilka dni pobytu – odpowiedział silnym głosem Jan.

- Ma pan dużo szczęścia bo już za tydzień nie będzie, gdzie szpilki włożyć, wiadomo: Boże Narodzenie się zbliża, to zjedzie się sporo gości. Ale teraz jest jeszcze kilka wolnych pokoi. Ma pan jakieś specjalne życzenie? – zapytał recepcjonista.

- Właściwie to nie, ale może pokój na najniższym piętrze. Odwiedzi mnie przyjaciel to szybciej mnie znajdzie – dodał przyjezdny.

- Mamy nieduży pokój na pierwszym pięterku, na pewno się panu będzie podobał. Czy ma pan jakiś dowód tożsamości? – zapytał pracownik hotelu. Jan spodziewając się tego pytania, zaczął poszukiwać dokumentu mając na dłoniach rękawiczki, które mu w tym skutecznie przeszkadzały. W pewnym momencie nie mogąc wyjąć dowodu tożsamości zdjął rękawiczkę, chwycił dokument i położył na ladzie. Wcześniej przezornie włożył między strony banknot 10 dolarowy.

- Myślę, że na razie ten dokument wystarczy. Za kilka dni odbiorę z policji mój paszport i wówczas go przedłożę – wyrecytował szelmowsko się przy tym uśmiechając. Recepcjonista powoli otworzył dokument i przenosząc na Jana wzrok z szerokim uśmiechem wyjaśnił:

- No tak w tych wyjątkowych okolicznościach niech się pan czuje u nas jak u siebie w domu, oto klucze do pokoju numer 16 na I piętrze.

- Jestem zauroczony gościnnością czy mógłbym jeszcze skorzystać z telefonu – zapytał przyjezdny.

- Oczywiście aparat jest tuż obok, ale mamy też telefony w pokojach i jeśli chce pan skorzystać to łączymy w każdej chwili z centralą miejską – poinformował recepcjonista.

Auto prezesa w zawrotnym tempie pokonywało kolejne kilometry w drodze do Królewca. Po raz kolejny tego dnia szukali człowieka – widmo, nie mając pewności czy w ogóle podążają w dobrym kierunku. Przecież szatniarz w Malborku mógł się pomylić. Ale liczyli jeszcze na policję niemiecką. Informacje o pobycie Tylewskiego w hotelu Pod Trzema Koronami powinna postawić ich na nogi. Mogli przypuszczać, że taksówkarz po powrocie z Królewca do Malborka wyjaśni, gdzie zawiózł inkasenta i ta informacja zostanie niezwłocznie przekazana policji. Nie mając wiedzy ani wskazówek co do miejsca pobytu uciekiniera prezes głośno zastanawiając się nad dalszym postępowaniem zwrócił się do Henkelmana:

- Myślę, że powinniśmy sprawdzić w komisariacie policji, ale o tej porze znając obyczaje niemieckich stróżów prawa nie będzie z kim rozmawiać. Z kolei poszukiwanie Tylewskiego na własną rękę w tak dużym mieście jak Królewiec, to jak odnalezienie igły w stogu siana.

- Ma szef całkowitą rację – wtrącił podwładny – poza tym zbliża się noc jeśli go teraz nie znajdziemy to musimy przecież gdzieś przenocować.

- Mam tutaj trochę przyjaciół – zawyrokował prezes – wśród nich jest Georg właściciel hotelu Victoria położonego w centrum, myślę, że w tych okolicznościach nie odmówi mi gościny.

Minęło zaledwie kilka minut, gdy stanęli przed okazałym frontonem hotelu Victoria. Za kontuarem siedziało dwóch recepcjonistów, którzy na widok przyjezdnych zerwali się na równe nogi i starszy z nich wyrecytował:

- Dobry wieczór czym mogę panom służyć?

- Nazywam się Halperin, Samuel Halperin – przedstawił się prezes – czy zastałem właściciela hotelu?

- Szef właściwie to już wybierał się do domu, ale zaraz sprawdzę jeśli będzie w hotelu to zaraz oczywiście poproszę – usłużnie odpowiedział recepcjonista.

- Zechcą panowie spocząć w holu, a może skorzystają z baru obok, polecam najlepsze drinki w mieście – dodał młodszy pracownik hotelu.

- Nie dziękujemy, z baru nie skorzystamy jest już dość późno i jesteśmy trochę zmęczeni, poczekamy tutaj w holu – odparł prezes.

Po chwili otworzyły się szerokie drzwi prowadzące do pomieszczeń służbowych i ukazał się w nich wysoki, zwalisty i mocno łysiejący jegomość, który na widok przyjezdnych ryknął:

- Samuel!!!

Obaj po chwili wpadli sobie w ramiona.

- Co u licha cię do Królewca przywiodło o tej porze? – zapytał Georg.

- Ścigam razem z moim zaufanym podwładnym defraudanta, który zamiast wpłacić pieniądze do banku zawłaszczył je i ucieka przed nami. Mamy wszelkie podstawy sądzić,

że jest teraz w Królewcu, policja może już być na jego tropie – wyrzucił z prędkością karabinu maszynowego Halperin.

- No tak, ale o tej porze to już niewiele możesz wskórać trzeba poczekać do rana. Oczywiście musisz przenocować u mnie, zawsze mam do dyspozycji dla specjalnych gości wygodny pokój. Rano powęszymy po mieście, mam tu znajomego policjanta może będzie coś więcej wiedział w twojej sprawie. A na razie zapraszam na małą wódeczkę do baru – zakończył głosem nieznoszącym sprzeciwu Georg.

- Widzisz Georg, nie chcielibyśmy robić problemów, a co do baru to przed chwilą odmówiłem twojemu podwładnemu, no ale skoro prosi sam szef to nie mam śmiałości odmówić, ale tylko na chwilę bo jesteśmy już nieco zmęczeni dzisiejszymi przygodami – uśmiechając się dobitnie zakończył prezes.

- Dobrze, już dobrze – protekcyjnie wyznał Georg i wielkimi jak łopaty wiatraka rękoma objął obu przyjezdnych – dodając:

- A teraz wujek Georg pokaże wam przemiły pokój, rozgośćcie się i za mały kwadransik czekam na was w barze.

Niedługo po tym siedzieli już w wygodnych fotelach popijając zachwalane przez barmanów drinki i wysłuchując tyrad właściciela hotelu na temat lokalnego rynku hotelarskiego. Przyjezdni mówili niewiele. Zmęczenie i emocje ostatnich godzin wyczerpały ich w takim stopniu, że ograniczali się tylko do potakiwania coraz to bardziej rozkręcającego się gospodarza. Kiedy w pewnym momencie głowa Henkelmana oparła się bezwładnie o oparcie fotela prezes uprzejmie podziękował przyjacielowi:

- Widzisz Georg chętnie dotrymałbym Ci towarzystwa, ale mój podwładny jest już zmęczony dlatego pozwolisz, że pójdziemy już do swojego pokoju.

- Samuel czuj się u mnie jak u siebie w domu. Jutro razem udamy się na komisariat, może już będą coś wiedzieli o twoim defraudancie.

- Ściszone głosem dodał hotelarz.

Prezes delikatnie dotknął ramienia swojego pracownika, który wybudzony i lekko zdezorientowany potrząsnął głową i wymamrotał:

- Tak, panie szefie.

- No, idziemy już spać – zaordynował przełożony.

Po chwili obaj zniknęli w głębi ciemnego korytarza.

Uprzejmy głos recepcjonisty i pomyślnie zakończona sprawa braku paszportu wprawiły Jana w doskonały nastrój. Podnosząc słuchawkę telefonu po chwili usłyszał miły głos operatorki miejskiej centrali telefonicznej. Podał natychmiast wcześniej zapisany numer telefonu do Hansa. Po chwili usłyszał tubalny lekko znużony głos w słuchawce:

- Tak słucham.

- Serwus, z tej strony Janek z Grudziądza, byliśmy wcześniej umówieni w wiadomej sprawie – wyjął Tylewski.

- Ach tak, no to witam w Królewcu, gdzie to się Janku zakwaterowałeś? – pytał Hans.

- Zatrzymałem się w Hotelu Parkowym, na pierwszym piętrze, pokój numer 16.

- To gratuluję dobrego wyboru, ale nie pomyślałeś, że jest za bardzo ekskluzywny, miałeś nie rzucać się w oczy. Takie miejsca są pod szczególnym nadzorem.

- Z irytacją w głosie wycedził Hans.

- Nie martw się na zapas od początku wszystko przebiega pomyślnie, nie ma powodu do niepokoju, kiedy mogę się ciebie spodziewać – zapytał Jan.

- Będę o 10 rano, bo godzinę później mam spotkanie z osobą, która załatwia dokumenty dla ciebie – poinformował Hans.

- No to milej nocy – zakończył rozmowę Jan.

Recepcjonista widząc kończącego rozmowę, nagle zaproponował:

- Polecamy znakomite drinki w naszym barze, gdyby zechciał pan skorzystać, dla gości hotelowych mamy atrakcyjne rabaty.

- Jan słysząc to zatrzymał się w pół kroku:

- A właściwie dlaczego nie, dzień miałem ciężki to należy mi się nieco odprężenia.

- Ależ naturalnie – zachęcił pracownik hotelu, wskazując ręką wejście do hotelowej restauracji.

Drinki zachwalane przez pracownika hotelu rzeczywiście były wyśmienite. Jan nie bardzo już pamiętał ile ich wypił, nie do końca był też przekonany jak długo zabawił w barze. Pamiętał tylko, że najdłużej rozmawiał z barmanem, który jak się okazało miał w Grudziądzu rodzinę. Nie szczędził mu też z tego powodu napiwków. Bliskość bratniej duszy i alkohol zaowocowała już zupełnym pozbyciem się stresu, którego od rana miał aż za dużo. Jeszcze dzisiaj rano był trybikiem w maszynie wielkiej fabryki, a teraz – kilkanaście godzin później stał się wolnym człowiekiem z pieniędzmi i perspektywami na przyszłość. Wychodząc z baru nie zapomniał poprosić recepcjonistę by obudził go o 8 rano.

Upojna noc pod królewieckim niebem przeminęła błyskawicznie. Obudziło go niezbyt głośne rytmiczne pukanie w drzwi. To pracownik recepcji dotrzymał słowa. Jan grzecznie podziękował, ale bynajmniej nie zamierzał od razu zrywać się na równe nogi. Zdecydował się na małe leżakowanie. Po porannej toalecie udał się do hotelowej restauracji, gdzie zjadł smaczne śniadanie. Krótco po powrocie do pokoju – zgodnie z zapowiedzią – zjawił się Hans.

- Cześć, jak się spało po dniu pełnym wrażeń.

- Tak, tak rzeczywiście wrażeń nie brakowało, ale obyło się bez większych komplikacji, a wieczorem trochę dobrego alkoholu sprawiło mi w znakomity nastrój.

- Podkreślił z szelmowskim uśmiechem Jan.

- Bardzo mnie to cieszy. A teraz do rzeczy. Jeszcze dzisiaj jestem umówiony z człowiekiem, który przygotowuje ci najlepsze dokumenty. To będzie kosztowało – pokazując wymownym gestem, pocierając kciukiem o palec wskazujący i kiwając głową podkreślił gość.

- Ależ oczywiście, jestem na to przygotowany, umowa stoi: połowa kwoty teraz – druga połowa po dostarczeniu dokumentów i załatwieniu formalności – prawie wykrzyknął Jan.

- No to przyjacielu po wyliczeniu kosztów wychodzi 9 tysięcy złotych na początek. Za kilka dni wszystko będzie załatwione. Nie podoba mi się tylko, że zatrzymałeś się w Hotelu Parkowym, jest za bardzo eksponowany – dodał Hans.

- Ale co ty! – przez całe lata znosiłem upokorzenia, to wreszcie należy mi się odrobina luksusu. Poza tym nikt mnie tutaj nie zna, a ponadto wszyscy są tacy mili. – Prawie wybuchnął Jan.

- Mili, mili, co mają być niemili jak dajesz im spore napiwki. No ale już dobrze, ja cię tylko przestrzegam, ale teraz dawaj pieniądze, roześmiał się szeroko Hans. Po chwili z odliczoną kwotą, która znalazła się w jego małym neseserze opuścił pokój.

Po niespokojnej i częściowo bezsennej nocy, prezes Halperin wraz z podwładnym obudzili się prawie równocześnie. Po porannej toalecie w niewielkim barze hotelowym na parterze zasiedli do śniadania. Po chwili przybiegł zdyszany właściciel. I zaraz po powitaniu nachylił się do siedzących i stłumionym głosem przekazał:

- Rozmawiałem przez telefon z moim znajomym policjantem, Kurtem, który pełni dzisiaj dyżur na komisariacie śródmiejskim. Wiedzą o sprawie, ale w tym czasie, gdy z nim rozmawiałem żadnych nowych informacji nie było. Za godzinę jestem z nim umówiony, chciałbym żebyście też tam byli. Wasze wskazówki mogą być bardzo pomocne.

- Doskonale, nie wiem jak ci Georg dziękować za pomoc. Jak tylko zjemy śniadanie to będziemy gotowi – odpowiedział prezes.

- Podziękować to będziecie mogli jak dorwiemy tego drania, a tymczasem spokojnie dokończcie śniadanie. Jak ogarnę swoje sprawy w hotelu to pojedziemy moim autem na komisariat.

Środowy ranek na śródmiejskim komisariacie w Królewcu niczym się szczególnym nie wyróżniał. Zwykła codzienna poranna rutynowa praca. Noc minęła spokojnie. Nie odnotowano poważniejszych przypadków łamania prawa. Tylko nieliczne rodzinne interwencje. Monotonny spokój zakłócił dzwonek telefonu. Dyżurny leniwie wyrecytował formułkę na powitanie. Z drugiej strony linii dobiega stłumiony głos:

- Panie oficerze, dzwonię z recepcji Hotelu Parkowego. Przejąłem służbę od kolegi, który wieczorem wynajął pokój pewnemu Polakowi. Nie miał paszportu tylko polski dowód osobisty, mówił, że w ciągu kilku dni otrzyma paszport.

- A cóż w tym dziwnego, że u was zatrzymał się jakiś Polak, takich przypadków jest pewnie więcej, nie widzę w tym żadnej sensacji – fuknął funkcjonariusz.

- Tak, ale płacił dolarami a na szczególnie zamożnego nie wyglądał – nie dał za wygraną recepcjonista.

- Ach tak – westchnął znudzony funkcjonariusz – na jakie nazwisko się zameldował?

- Na nazwisko Józef Lewicki odparł głos z drugiej strony linii.

- Nic mi to nie mówi, wprawdzie z centrali przekazali, że trwa pościg za polskim defraudantem z Grudziądza, ale nazwisko się nie zgadza, może jakieś znaki szczególne miał ten Polak – spytał policjant.

- Kolega przekazał, że niczym szczególnym się nie wyróżnia, ale po zdjęciu rękawiczek w trakcie podawania dowodu tożsamości zauważył brak u niego jednego palca prawej dłoni – wyznał pracownik hotelowy.

- Co takiego! – to by się nawet zgadzało, rzeczywiście przekazano nam taką informację, to może być ten człowiek – rzucił do słuchawki podniecony policjant. Czy on jest jeszcze w pokoju hotelowym? – kontynuował stróż prawa.

- Tak do późnej nocy przebywał w naszym barze, sporo wypił – co potwierdził barman – i zapewne jeszcze śpi – odpowiedział recepcjonista.

- Obserwujcie go dyskretnie, może być uzbrojony. Żadnych nerwowych ruchów. Będziemy tam najszybciej jak tylko to możliwe – zaordynował funkcjonariusz.

Auto Georga żwawo toczyło się po królewieckich brukowanych ulicach. W kilka minut byli już pod budynkiem komisariatu. Po chwili cała trójka stanęła przed dyżurką, gdzie oficer właśnie prowadził rozmowę przez telefon. Kątem oka ujrzawszy właściciela hotelu, przerwał rozmowę zwracając się do niego:

- Cześć Georg.

- Serwus Kurt, są ze mną panowie z Grudziądza. Prezes zakładów PPG Samuel Halperin i jego zaufany współpracownik Henkelmann. Mówiłem ci o sprawie dzisiaj w rozmowie przez telefon.

- Oczywiście, i muszę ci Georg powiedzieć, że krótko przed waszym przyjazdem otrzymałem bardzo ciekawą informację o Polaku nazwiskiem Józef Lewicki, który zatrzymał się w hotelu „Parkowy” i szasta dolarami. Padano też, że niczym się nie wyróżnia poza brakiem jednego palca prawej dłoni.

- Przepraszam co takiego?! – prawie ryknął prezes.

- Panie oficerze to może być nasz defraudant. Nazwisko mógł podać fałszywe. Ale my go znamy i jeśli to on, to natychmiast go zdemaskujemy.

- Spokojnie panowie – zaordynował funkcjonariusz Kurt – nie wiemy czy ten człowiek jest uzbrojony. Musimy działać profesjonalnie. W ciągu pół godziny zbierzemy zespół i udamy się do hotelu. Dobrze by było, gdybyście panowie pojechali z nami – zwrócił się do prezesa.

- Po zatrzymaniu tego człowieka – kontynuował dalej policjant Kurt – chciałbym byście potwierdzili jego tożsamość. Ale uprzedzam w samym hotelu trzymajcie się w pewnej odległości od pokoju podejrzanego. Jak już powiedziałem nie mamy pewności czy nie posiada przy sobie broni.

Po kilkudziesięciu minutach okazało się, że królewiecka policja nie rzuca słów na wiatr. Ekipa najbardziej doświadczonych funkcyjnych była gotowa do akcji. Pojechali autem służbowym, ale nie rzucającym się w oczy. Za nimi jechał Georg wraz z gośćmi z Grudziądza.

Po wyjściu Hansa, Jan na poważnie wziął do serca jego przestrogi dotyczące dalszego pobytu w Hotelu Parkowym:

- Może rzeczywiście wieczorem w barze po wypiciu wielu drinków powiedziałem zbyt dużo. Może barman komuś coś szepnął do ucha. Może recepcjonista dostrzegł brak tego cholernego jednego palucha. Dużo tych „może”.

- Odpedził złe myśli i na spokojnie zaczął analizować następne posunięcia. Przecież dotychczas nigdzie nie dostrzegł najmniejszego chociażby zagrożenia. Nikt nie zadawał mu niewygodnych pytań. Ale teraz najważniejszym staje się przeczekać te pierwsze gorące dni. Następnie, gdy wrzawa ucichnie wymknę się z Królewca, a potem „to szukaj wiatru w polu”.

Gdy wątpliwości nie ustępowały nachalnie domagając się jasnych odpowiedzi, Jan wszedł do łazienki, przemył twarz zimną wodą, po czym szepnął do siebie:

- Tak czy siak dla pewności muszę się z stąd jak najszybciej wyprowadzić, najlepiej do jakiegoś podrzędnego hotelu – a może Hans coś dla mnie wyszuka, gdzie nikt mnie nie

znajdzie. Gdy wychodził z łazienki usłyszał niegłośnie, rytmiczne pukanie do drzwi. Zareagował natychmiast ściszym głosem:

- Tak, o co chodzi. Po chwili usłyszał miły głos pracownika hotelu:
- Bardzo przepraszam pana, jestem z obsługi hotelowej. Mamy awarię sieci telefonicznej, gdyby zechciał pan otworzyć to postaramy się natychmiast usunąć usterkę.
- Już otwieram – odparł Jan. Gdy tylko uchylił drzwi, ktoś z drugiej strony, z wielką siłą, prawie je wyważając wdarł się do środka, z okrzykiem:
- Policja! Ręce do góry. Pana nazwisko! – Nazywam, nazywam się Józef Lewicki, ale o co chodzi – prawie łkając – wykrzyczał uciekinier.

Momentalnie w drzwiach stanął prezes Halperin, który rozpoznawszy Tylickiego, ryknął:

- Ty draniu, ty złodzieju. Jak mogłeś nas okraść?! – po czym ruszył z zaciśniętymi pięściami na defraudanta. W ostatniej chwili przed ciosami prezesa ochronili Jana dwaj rośli policjanci, powstrzymując szarżującego pryncypała. W tym momencie wbiegł do pokoju Henkelmann, szybko podbiegł do przełożonego, pytając:
- Szefie nic się panu nie stało?
- Mnie nic, ale tego drania to za chwile można by w kawalkach zbierać! – wykrzyknął prezes. Po krótkiej szamotaninie dowódca grupy policjantów zwrócił się do Halperina i Henkelmanna:
- Czy potwierdzają panowie tożsamość tego człowieka. Ci prawie równocześnie krzyknęli – Tak to Jan Tylewski!
- Brak jednego palca prawej ręki będzie ostatecznym dowodem – dodał Henkelmann. Krótki Rzut oka na prawą dłoń zatrzymanego nie pozostawiał wątpliwości. Dowódca grupy zwrócił się do Tylewskiego:
- Jest pan aresztowany pod zarzutem defraudacji.

Za wygraną nie dał prezes Halperin głośno pytając się Jana:

- Dlaczego to zrobiłeś!
- Z biedy i upokorzenia! – wykrzyknął aresztowany.
- Gdzie masz pieniądze? – zapytał już ściszym głosem podwładny prezesa.
- Są w dużej torbie, znajdziecie ją w szafie.

Prezes szybkim krokiem podszedł do stojącej w narożu pokoju szafy i wyjął z niej torbę – tę samą, którą jeszcze wczoraj wręczał inkasentowi by zawartość zaniósł do banku. Stojący obok przełożony funkcjonariuszy poprosił o przeliczenie pieniędzy. Po kilku minutach liczenia, prezes poinformował stróżów prawa:

- Panowie, brakuje 9 tysięcy złotych i 40 dolarów. Po czym zwrócił się do Tylewskiego:
- Gdzie masz resztę złodzieju!
- Poszły na drobne wydatki – z szelmowskim uśmiechem odparł Jan.

Po założeniu kajdanek, oskarżonego wyprowadzano z hotelu. Przełożony stróżów prawa poprosił prezesa i podwładnego, by stawili się na komisariacie celem spisania protokołu. Tam też się dowiedzieli, że oskarżony będzie czekał w areszcie na ekstradycję do Polski. Po ponad godzinie spędzonej w budynku policji jechali już autem Georga do jego hotelu. Gdy weszli do gabinetu właściciela, Samuel zwrócił się do przyjaciela:

- Nie wiem jak ci dziękować Georg, bez ciebie wszystko mogłoby się inaczej zakończyć. Najbardziej cieszę się, że tutejsze władze pozwoliły mi zabrać pozostałą część gotówki

z powrotem do Grudziądza. W końcu te pieniądze miały być przeznaczone na wykup weksli, i tak naprawdę były już własnością banku.

- Nie dziękuj, nie dziękuj, to ja cieszę się, że mogłem pomóc. Niewiele mnie to w sumie kosztowało. Ale najważniejsze, że dopadliśmy drania. Być może, jak kiedyś będę w Grudziądzu, i pojawi się problem, to będziesz miał okazję do rewanżu – podsumował – uśmiechając się wymownie Georg.

- Oczywiście „stary” jestem twoim dłużnikiem – zwrócił się do przyjaciela Samuel, obejmując go i poklepując.

- No już dość tych wylewności. A teraz zapraszam was na obiad – zaordynował Georg. Po posiłku gospodarz hotelu Victoria serdecznie pożegnał gości.

Droga powrotna wydawała się nie mieć końca. Jechali wolno. Pośpiech już nie był wskazany. W pewnym momencie prezes Halperin zwrócił się do podwładnego:

- Wiesz – myślę, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty – też tak myślę szefie – odparł, szeroko się uśmiechając pasażer.

Południowe słońce zdążyło już stopić dużą część śniegu zalegającego na drodze. Wracali szczęśliwi do swojego miasta, z którego jeszcze dobę temu wyjeżdżali w zupełnie innych nastrojach.

POSŁOWIE

Po tym wydarzeniu w Grudziądzu rozgorzała dyskusja oceniająca czyn Jana Tylewskiego. Tym bardziej, że podobne defraudacje w tym czasie miały miejsce – choć na wiele mniejszą skalę. Spór w tej sprawie przebiegał nie tylko w domowych zaciszach, czy urzędniczych gabinetach, ale też na łamach lokalnej prasy. Opinia publiczna była podzielona. Wielu uważało czyn inkasenta fabrycznego za godny potępienia, dowodząc, że kradzież – niezależnie od okoliczności – jest zawsze czynem nagannym. I należy go bezwzględnie potępić, by nie dawać przykładu dla innych chcących polepszyć swój los w ten niegodny sposób. Po drugiej stronie stanęli ci, którzy wskazywali, że to bieda, rozgoryczenie i brak perspektyw pchnęły zdesperowanego pracownika do tego czynu. Wielu było przekonanych, że tak oddany i zaangażowany urzędnik musiał doznać wielu krzywd ze strony pracodawców by zdecydował się na defraudację. Wskazywali na niesprawiedliwy system społeczny, w którym uczciwie pracujący urzędnik nie mógł utrzymać rodziny.

Dla Grudziądza okres lat dwudziestych XX wieku, był czasem niezwykle szybkiego rozwoju. Wspaniale rozwijał się przemysł. Kwitło kupiectwo i rzemiosło. Renesans przeżywała kultura i sztuka. Ale też jego szybki awans na pozycje gospodarczej stolicy Pomorza wiązany był z pojawieniem się wielu problemów społecznych. Czy epizod defraudacji Jana Tylewskiego był nieuniknionym skutkiem tych problemów, czy tylko osobliwym czynem rządzącego poprawy swojego losu pracownika. To pytanie pozostaje nadal otwarte.

Notatki

(L.B.S.)

Redakcja: Tadeusz Rauchfleisch, Janusz Hinz. Logo KMDG wykonał Grzegorz H. Rygielski.